

Woty



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Woły

Najcenniejszym przymiotem natury jest jej różnorodność. Niema podobno jednakich dwu kropli wody, dwu liści na drzewie. Wyobraźnia, pomysłowość przyrody nietylko zdumiewa, ale stanowi źródło wielu naszych zadowoleń. Bo czemuż byłoby życie wśród widoków tożsamości? Czytaniem książki sklejonej z komunałów. Od czasu istnienia świata słońce codziennie inaczej wschodzi i zachodzi, bo natura może wytwarzać nieskończoną ilość kombinacji. Malarze mają zapewnione tematy i nie potrzebują się powtarzać.

Polak smutny zawsze filozofuje, więc i ja prządzę nici z tego kłaczka uwag, a choć je woźnica przeciął pytaniem: która godzina? — rozmyślałem dalej:

Ręczę, że i te dwa byczki, mocujące się rogami na paśniku, są odmienne od wszystkich poprzednich, współczesnych i przyszłych, a nawet figlują oryginalnie. Przerwały zabawę, spostrzegłszy przejeżdżającą bryczkę, fuknęły nozdrzami, zwróciły uszy ku przodowi i przyglądały się nam buńczucznie, jak dwaj młodzi szwajcarzy podróżnikom. Z lasku wyszedł chłopiec wiejski, który mijając je, krzyknął i śmignął prętem. Byczki odskoczyły nieco, ale znowu stanęły odważnie.

— A nie pójdziesz ty od nich kanalio! — zawołał na chłopca orzący nieopodał parobek. — Sybirak szelma — przeszkadzają mu!

— Pocziwy człowiek — rzekłem do siebie — strzeże wołki jak dzieci i nie pozwala ich nawet ploszyć.

Bryczka nasza, wybrnąwszy z piasku, potoczyła się różnie wzdłuż niw zżętych, zalanych złocistymi odbłaskami sierpniowego słońca, które coraz mocniej dopiekało. Spotykaliśmy ludzi, pracujących w polu, bydło, wyskubujące trawę ze rżyska, psy, myszkujące po nieskoszonych jarzynach, niemowlęta zawieszane w płachtach — a ja ciągle, mimo skwaru i kurzu, rozsnawałem przekonanie, że cały ów krajobraz w tej postaci ułożyła natura po raz pierwszy.

Przy drodze stał wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Wieśniak, zanim ruszył, wyrwał z dużego, prawdopodobnie dworskiego ładu, wiązkę grochu i karmił nim woły, które jadły z powagą Niemców, posilających się przed ciężką robotą.

Troskliwy gospodarz kradnie, a żywi swoich pomocników!

Pył znowu otoczył nas obłokiem, koła zagrzeźły w piasku, długą smugą zalegającym stok znacznej wyżyny. Przed nami para rosłych byczków i dobrze utrzymanych wołów ciągnęła na wozie sosnę. Dwaj chłopcy, podparłszy ramionami kłonicę, pomagali wyprężonym zwierzętom, zachęcając je do wysiłków.

— Ho, ho, dalej małe, uuup!

Ale małe, szarpnąwszy kilkakrotnie, stanęły. Starszy wieśniak zbliżył się do nich, pogłaskał po głowach i grzbietach, mówiąc:

— Odpocznijcie sobie. Psia góra!

Woźnica mój, chcąc rozszerzyć sobie przejazd, zawołał:

— Na prawo!

— A to włóż jarzmo i ściągnij na prawo — ofuknął go młodszy. — Patrzcie go, jaki chwyt z morskiej piany.

Miał słuszność, broniąc zmęczonych bydła, ale mój furman odparł:

— Muszą być „frajcuzy” — delikatne.

Odpłacono mu za tę uwagę radą, której powtórzyć nie mogę.

Wydostaliśmy się wreszcie na szosę. Włokły się po obu jej stronach ciężkie bryki i wozy w kierunku miasta. Pod stacją kolei uwięźliśmy między nimi, a zwłaszcza jedna

fura tarcic, ciągniona przez woły, zagroziła nam drogę. Śród wzajemnych wymysłów utorowano wreszcie przesmyk, którym mieliśmy przemknąć. Podrażniony wszakże mój Łukasz, zaciął batem w przejeździe najmniej winne woły. Właściciel ich ryknął, skoczył ku nam, za nim pośpieszyli jego towarzysze, a ponieważ przed zamkniętą rogatką kolejową musieliśmy stanąć, rozpoczęła się bijatyka, z której Łukasz wyszedł mocno poturbowany. Walce tej woły przypatrywały się z angielskim spokojem. Skutkiem zajęcia linii głównej pociąg nasz zatrzymano daleko od dworca. Na sąsiednich szynach z kilku wagonów wyladowywano wielkie ukraińskie woły, które miały zginąć w żołądku stolicy.

Złym jest człowiek — według pewnej autorki angielskiej — którego nie wzrusza widok żółkłych liści jesiennych; gorszym jest według mnie ten, którego nie wzrusza widok płowych, opiętnowanych, na rzeź pędzonych wołów. Czy kiedykolwiek przypatrzyłeś się im czytelniku? Jak smutnie spoglądają ich duże, bolesnem przecuciem zaćmione oczy! Boki zapadłe, skóra wypalonymi stęplami oznaczona, w całej postaci rozlana niema rozpacz. Dźwigają swe mięso na ofiarę człowiekowi, który nie ma dla nich litości. Ile razy przechodzę koło gromadki tych płowych skazańców, wiedzionych na śmierć, serce mi się ścisza straszny kurczem. Wyprowadzone z wagonu obejrzały się wokoło: jedne wachały ziemię, drugie szukały na niej źdźbła pożywnego, inne wsłuchiwały się w gwar miejski, inne nareszcie spoglądały w górę, jak gdyby badając, czy to samo niebo nad nimi sklepienne. We wszystkich odbijało się odurzenie, niemoc, rezygnacja. Ze stepów, ze swobody, z traw wonnych i czystego powietrza, przeniesiono je w odmęt piekielny, gdzie węższą krew.

— I to one w drodze nie jedzą? — zapytał służący kolejowy.

— Szlamują sobie kiszki — odrzekł odbiorca „towaru”.

— Choćby im wody trochę...

— Może sodowej... Prędeż tam, nie bałamucić, bo przed czwartą muszą być w szlach-
tuzie.

— Pierwsza partya już poszła.

— Potrzebne wszystkie — zakończył odbiorca.

Odszedłem od okna — w tej chwili pociąg się podsunął pod dworzec.

Z nieprzyjemnem wrażeniem wsiałem do doróżki, odpędzając z myśli mary nie-
szczęśliwe. Czy człowiek wiecznie karmić się będzie cudzem życiem? Czy on nie wynaj-
dzie sposobów istnienia bez morderstwa? Czy ta konieczność natury nigdy się nie złamie?
I ja za chwilę jeść będę pieczeń z tych samych istot, których niedola tak mnie rozrzewnia.
Co tu właściwie jest słusznem: moje współczucie, czy apetyt?

Na moście zakotłowały się wrzaski: jakaś przeszkoda zatamowała przejazd. Jeszcze nie
zdążyłem zbadać przyczyny, gdy doróżka wjechała ze mną w gromadę płowych wołów.
Powiązane za rogi parami, tłoczyły się i rzucały, a wściekły czeladnik rzeźnicki, w niebie-
skim fartuchu i zatłuszczonym kaftanie, smagał je niemiłosiernie skręconym w kilkoro
postronkiem. Jednocześnie z każdego kozła spadały im na grzbiety bicz, od których
skóra się pręgowała. Nareszcie utorowano drogę. Mój doróżkarz miał już wolną, mijając
wszakże woły, ciał jednego z nich tak mocno batem, że aż biednemu stworzeniu z oka
wyciekł krwawy wężyk.

— I za co go bijesz? — zawołałem wzburzony.

— To na rzeź, panie.

Cały w tej odpowiedzi systemat. Co ma prawo do życia — to pozostaje pod osło-
ną wszystkich naszych uczuć; co na rzeź przeznaczone, zasługuje tylko na okrucieństwo.
Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki, woźnica oberwał po karku za ude-
rzenie wołów, ciągnących wóz, ale te płowe mięsa wolno ćwiczyć dla rozrywki.

Na koźle doróżki siedział prawdziwy Pindter.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/woly/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świątchowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0843-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.